

Leszek K. Talko



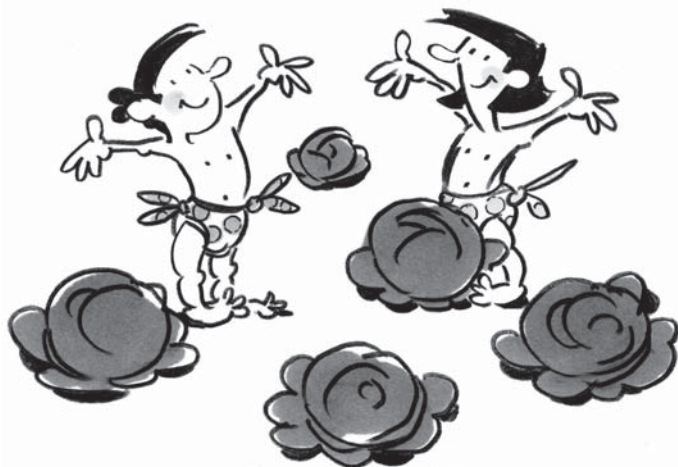
Dziecko dla odważnych

SZKOŁA PRZETRWANIA

Leszek K. Talko

Dziecko dla odważnych

Ilustrowała Ewa Olejnik



Jak przygotować się na przyjęcie maluszka, czyli po diabła nam te wszystkie paskudztwa?

– **K**upiliśmy właśnie wózek i, wiesz, taki leżaczek jeszcze, a poza tym mamy już całą półkę książek o wychowaniu dzieci i wieczorami sobie czytamy. Aha, i jeszcze mamy taką lalkę, i uczymy się przewijania, no bo to jednak ryzyko, strasznie boimy się, żeby nam dzidzia nie spadła – relacjonowała bez chwili przerwy nasza znajoma, której za miesiąc miała się powiększyć rodzina.

– Bo wiesz, to ważne, żeby się prawidłowo przygotować – zakończyła. I po chwili milczenia zapytała: – A wy?

– A my... – Sięgnąłem myślami do zamierzchłych czasów, które były... policzmy... dwa lata temu. – No więc my...

* * *

My staliśmy właśnie przed sklepem z wózkami.

– Kochanie, koniecznie musimy mieć wózek – powiedziała moja żona Monika.

– Jasne! – zgodziłem się. W końcu dzieci jeżdżą w wózkach. A my już niedługo mieliśmy mieć dziecko. No, za jakieś trzy miesiące.

– To wchodzimy i kupujemy – zdecydowała Monika.

– Ale zaraz, przecież nie mamy jeszcze nikogo do wożenia! – zwróciłem uwagę na lukę w rozumowaniu. – Jak będziemy mieli, to kupimy...



– Nie, potem nie będzie czasu. Kupmy teraz – przerwała Monika. Od razu wiedzieliśmy, który wózek będzie nasz. Przepiękny. Miał trzy koła, był zielony i nie szpeciły go żadne misiaczki. No, jednym słowem, terenówka, prawdziwy bolid, z którym spokojnie może się przechadzać dumny tata. Mama oczywiście również – w końcu mamy równouprawnienie, czyż nie?

– Bierzemy go – zdecydowaliśmy jednogłośnie.

Nowy nabytek stanął na środku pokoju. Goście byli zachwyceni, ale najbardziej zachwycony byłem ja.

Ba, jako dziecko z pewnością marzyłbym o takim wózku. Niestety, nie miałem szansy. Kiedy byłem maluchem, jeździłem strasznym gratem. Teraz jako tata mogłem wreszcie to nadrobić.

Następnego dnia wstąpiliśmy do sklepu z dziecięcymi ciuszkami. Trochę się opierałem – w końcu lepiej wiedzieć, dla kogo kupuje się ciuszki – ale poszedłem. Nie miałem pojęcia, że malucha można tak odjazdowo ubrać.

– Zobacz tylko, jakie superdżinsy – wołałem.

– A ja mam dla niego ekstrapolarek – wtórowała mi Monika.



Kiedy już nacieszyliśmy się wózkami i ciuszkami, wybraliśmy się do księgarni po książki. Spędziliśmy dwie godziny przy regałach, przeglądając poradniki. Ze zdziwieniem zauważyłem, że były ich dziesiątki. Rozumiem, że muszą istnieć takie o zakładaniu ogrodu. No bo skąd człowiek ma wiedzieć, jakie kwiatki kiedy zasiać? Ale dziecko? Dać mu jeść, dać pić, położyć spać. Gdzie tu problem? – myślałem w swojej naiwności. A tu dzieci wydawały się jakimś zupełnie innym rodzajem człowieka, do którego nie istniała znormalizowana instrukcja obsługi.

Tego wieczoru, który spędziliśmy z książkami w łóżku, włosy stawały nam dęba co chwilę.

Z pierwszej wynikało, że dziecko może w każdej chwili się zabić: wypaść z łóżeczka, wypaść z wózeczek, ba, nawet z okna. Może na siebie coś wylać albo po prostu się zakrztusić i udusić.

– Wiesz co? – mruknąłem do Moniki, która zatopiła się akurat w opisie, jak bardzo trzeba uważać, żeby nie udusić dziecka. – Ja już wolę poczytać jakiś horror.

To był dopiero początek.

Z następnej książki dowiedziałem się, że nie tylko dziecko może samo się zabić, ale ja też mogę je zabić. O proszę! Niezręczny ojciec upuścił dziecko na podłogę – z tragicznym skutkiem. Albo to: niedopilnowane dziecko wypada przez okno...

Kiedy Monika otworzyła trzecią książkę – z której wynikało niezbyt, że jeśli dziecko nie zostanie zabite przez ojca i nie wypadnie z okna, to niechybnie zje coś trującego, wypije rozpuszczalnik albo po prostu połknie żyletkę – zrobiło mi się słabo.

Wziąłem książkę o pielęgnacji dzieci, mając nadzieję na uspokojenie nerwów. Czarno na białym wynikało z niej, że dzieci odznaczają się głównie tym, że dostają wysypki, gorączki, tajemniczych plam, bezdechu i około stu dwudziestu pięciu innych przypadłości – każdej w zasadzie śmiertelnej.

Snułem się przez strony wypełnione radami, jak sterylizować butelki (co najmniej dziesięć minut we wrzątku), jak założyć pieluchę

(próbowałem na misiu – zrezygnowałem, bo misiowi spadała). Rozmyślałem nawet nad tym, czy nie kupić lalki płaczącej, kiedy nikt się nią nie zajmuje, ale zrezygnowałem. W końcu kiedyś miałem elektronicznego kurczaka, którego należało karmić, przewijać i zabawiać, żeby był szczęśliwy, i kiepsko się to dla niego skończyło. Trzy dni się z nim bawiłem, a potem biedak zdechł, bo o nim zapomniałem.

Brrr. Otrząsnąłem się z książek i z ponurych myśli.

– Co to będzie? – zapytałem Monikę.

– Jak to co? – zdziwiła się. – Dziecko!

No i poszliśmy spać.

Jak przeżyć pierwszy dzień w domu z ukochanym małościem, czyli ten potwór zezarł serwetki!

Pitulek po prostu zjawił się pewnego dnia. Rozejrzał się dookoła, ziewnął i krytycznie zlustrował rodziców. Ta mniejsza to pewnie mama. Wciąż się zastanawia, czy wszystko jest w porządku, i biegnie na każde wezwanie. Ten większy to pewnie tata. Hmmm, z nim może być trudniej.

Mama z tatą nerwowo spojrzeli po sobie i jeszcze raz sprawdzili, czy wszystko jest: trzy butelki, podgrzewacz, smoczki, kocyki, grzechotki, oliwka, pampersy, ubranka i stos książek i czasopism o dzieciach.

– Ale co ja właściwie mam z nim robić? – zapytałę Monikę, czując się jak pilot boeinga, świetnie wyszkolony na symulatorach i mający każdą śrubkę w małym palcu, ale teraz po raz pierwszy przymierzający się do lądowania prawdziwym samolotem.

– Dać jeść – odparła, przeglądając nerwowo książkę o pierwszych miesiącach życia dziecka.

– A jak zjadł i dalej płacze?

– Dać pić – zawyrokowała.

– Jakoś to będzie – powiedziałem, nerwowo spoglądając na Pitulka. Wcale nie byłem o tym przekonany. Dobrze pamiętałem, jak jeszcze w szpitalu usiłowaliśmy Pitulkowi założyć sweterek. – Wyłamiesz mu rękę – zwróciłem uwagę żonie.

– A ty go udusisz, nie wpychaj mu głowy do rękawa – zrewanżowała się. Pitulek filozoficznie obgryzał palec.

– Chyba sweterek jest za mały – zdecydowałem wreszcie.

Mimo że byłem wielkim teoretykiem przewijania, to w szpitalu jakoś udawało mi się tego uniknąć. Zawsze znalazła się pielęgniarka, która zlitowała się nad gamoniowatym ojcem, co z uporem godnym lepszej sprawy usiłował wciągnąć śpioszki od drugiej strony albo twierdził, że to absolutnie niemożliwe wepchnąć sześćdziesięciocentymetrowe dziecko w ubranko rozmiar 76. Słowo daję, że wydało mi się to zadaniem nad siły. A przynajmniej nie do zrealizowania bez połamania co najmniej kilku paluszków.

Po kwadransie szarpania się musieliśmy wezwać na pomoc przechodzącą lekarkę.

W trzy sekundy wsadziła Pitulka w kaftanik i dziwnie popatrzyła.

– Nie wie pan, jak dziecko ubrać? – zapytała.

– Ja nie wiem, jak ubrać dziecko? – nasrożyłem się. – Ja przeczytałem o tym pięć książek.

Człowiek może się przyzwyczaić podobno do wszystkiego. Więc kiedy w domu pojawił się Pitu (wtedy jeszcze nie mieliśmy pojęcia, jak się będzie nazywał), przyzwyczailiśmy się.

Jakimś cudem zmieniałem pieluchę. Nie wiem, jakim cudem wciągałem nowe ubranko. Kolejne tego dnia. (Czy mi się wydaje, czy w książkach nic nie pisali, że przeciętny Pitulek potrafi się obrzygać dziesięć razy dziennie? Bo tego, że w tym samym czasie dwadzieścia razy obrzyga rodziców – nie pisali na pewno).

Wiem, ćwiczyłem ubieranie na misiui. Szło mi znakomicie. Dajcie mi misia. Każdego misia potrafiłem przebrać z zawiązanymi oczami w kilka sekund.

Ale już pierwszy dzień z Pitu udowodnił, że nie ma on nic wspólnego z misiui.

Po pierwsze, misie nie kopią. Po drugie, nie wrzeszczą.

Po trzecie, nie grozi im, że spadną z przewijarki, bo mało sprawny manualnie ojciec pozwoli im się wyslizgnąć.

Po pierwsze, misie nie kopią.
Po drugie, nie wrzeszczą...



Po czwarte, nawet jak spadną, to leżą cicho.

Po piąte, można je w trakcie przewijania zostawić i polecieć do telewizora, bo akurat pokazują najładniejsze bramki tygodnia, i wrócić po trzech minutach. Zakład, że miś będzie w tym samym miejscu?

Co prawda mam usprawiedliwienie. Misia nie dało się naoliwić, więc trudniej mu było wyknąć się z rąk.

Następne kilka dni spędziliśmy na ponownym nerwowym wertowaniu książek. Zjadł, wypił, pieluszka świeżo zmieniona, a on leżał i marudził.

– Pituli – stwierdziłem fachowo. – W książkach piszą, że jak pituli bez powodu, to trzeba położyć do łóżka i nie przejmować się.

– W książkach piszą, że jak pituli, trzeba pobujać i czymś zająć – stwierdziła Monika, przeglądając inny podręcznik.

Niestety Pitulek najwyraźniej nie czytał tych samych książek, bo był zupełnie nieświadomy tego, że go właśnie zabawiamy i że on powinien na to zareagować radosnym gaworzeniem, gulganiem czy jakimkolwiek innym wyrazem aprobaty.



Po dwóch tygodniach spędzonych na próbie zgłębienia zjawiska – wyjaśniło się. Pitulek po prostu chciał latać. Kiedy tylko zostawał samolotem, wydawał głośne ryki zachwytu. Jeszcze większy entuzjazm wywołało podrzucanie. Zmienialiśmy się co kwadrans, a wieczorem wyczerpani padaliśmy na łóżko. Pitulek okazał się amatorem mocnych wrażeń. Uznał, że nie ma nic wspanialszego niż latać, spadać, uprawiać bramkarskie parady.

– W książkach nie wspominają ani słowa, że dzieci robią takie rzeczy – powiedziałem. – Jeśli chodzi o zabawy, to autorzy proponują bujanie w leżaczku, robienie pysiu, pysiu i grzechotki. Czy oni w ogóle widzieli prawdziwe dziecko?

Propozycję zabawy grzechotką Pitulek wyśmiał, mimo że kilka godzin zachęcająco grzechotałem. Zainteresował się za to pudełkiem na serwetki, z którego metodycznie wyciągnął wszystkie jedną po drugiej, podarł je dokładnie, a następnie usiłował zjeść, na czym go nakryłem lekko zaniepokojony. Że niektóre ślimaki żywią się celulozą – to wiedziałem. Ale że dzieci też?!

– Posłuchaj, tu jest grzechotka Chicco – zacząłem pierwszą z cyklu poważnych rozmów tata – syn. – To jest bardzo droga grzechotka, którą mamusia z tatusem kupili ci, żebyś się nią bawił. Małe dzieci bawią się grzechotkami, a nie pudełkami serwetek.

Pitulek, do tej pory słuchający z uwagą, znudził się i złapał za ogon przechodzącego kota. Kot wrzasnął i zwał, wylewając herbatę.

W ten sposób poznaliśmy złotą zasadę numer jeden – absolutnie nie przejmować się tym, co piszą w książkach. Z całą pewnością jest tam masa cennych rad dla teoretycznie idealnych dzieci teoretycznych rodziców. Najwyraźniej żadna z nich nie dotyczyła Pitulka ani nas.

Siedzieliśmy z Moniką trochę ogłupiali na podłodze w naszym własnym domu z naszym własnym dzieckiem. Wokół piętrzyły się sterty rzeczy, których przeznaczenia nie usiłowałem nawet dociec. W pobliżu jak okiem sięgnąć nie było widać ani jednej pielęgniar ki, która pokręciłaby głową i powiedziała niby to srogo: – Ależ pan się do tego zabiera. Niech pan da małego. – I w dziesięć sekund wsadziła



go do za małego, zdawałoby się, ubranka, nie łamiąc mu przy tym rączek ani nóżek, i fachowo zabawiła.

Kiedy już ułożyliśmy go w łóżeczku, a on, powodowany chyba litością dla rodziców sprawnych inaczej, po prostu poszedł spać – wymknęliśmy się na balkon i drżącymi rękoma zapaliłem papierosa, choć to szkodliwe. Po prostu musiałem. Zastanawiałem się, czy to nie czas, by odpieczętować starą butelkę koniaku chowaną na jakąś specjalną okazję, bo czułem, że to jest absolutnie konieczne.

– O rany! – westchnąłem.

– No! – potwierdziła Monika.

Tak zaczęła się pierwsza noc w domu. W kuchni stała bateria butelek gotowych do użycia, w szafce zapas leków, którym można by postawić na nogi brygadę piechoty – ot, tak na wszelki wypadek, gdyby Pitu potrzebował naglej reanimacji, choć sytuacja wskazywała, że to my będziemy potrzebować pomocy. W drugiej szafce zapas jedzenia – na oko można by nim wykarmić dzieci z jakiegoś małego kraju Trzeciego Świata – a my staliśmy na miękkich nogach. Byliśmy rodzicami. Gdzieś tam za ścianą spał jakiś mały facet, który już miał z nami zostać, i bardzo trudno było się przyzwyczaić do tej myśli.

– Co teraz?

– Idziemy spać – stwierdziła Monika. – Przecież trzeba będzie w nocy wstać.

Całkiem wypadło mi to z głowy. Jasne. Wstać. *No problem.*

Poszliśmy do łóżka.

SZKOŁA PRZETRWANIA

SOS! W domu pojawia się małe stworzenie, które ryczy nie na żarty, za krótko śpi, ssie palec, robi kupy i dziwnie na ciebie patrzy.

Podobno człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego. Kiedy więc w domu pojawił się Pitu (wtedy jeszcze nie mieliśmy pojęcia, jak się będzie nazywał), przyzwyczailiśmy się.

Jakimś cudem zmieniałem pieluchę. Nie wiem, jakim cudem wkładałem mu nowe ubranko. Kolejne tego dnia. (Czy mi się wydaje, czy w książkach nic nie pisali, że przeciętny Pitulek potrafi się obrzygać dziesięć razy dziennie? Bo o tym, że w tym samym czasie dwadzieścia razy obrzyga rodziców, nie pisali na pewno).



Jakim cudem ludzkość nie wymarła, skoro tyle wysiłku trzeba włożyć w wychowanie jednego dziecka? A przecież są tacy, co mają dwójkę czy, uchowaj Boże, piątkę! Więc co? Nie śpią dziesięć lat z rzędu?

**Nieemożliwe?
Przekonaj się sam!**

Cena 34,90 zł

ISBN 978-83-240-2822-1



9 788324 028221

E-book dostępny na
woblink.com
znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

czasdzieci.pl
Portal informacyjny o dzieciach

ego
dzieci.pl

INTERIA.PL

MAM DZIECKO